

OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 1

WĄBRZEŻNO, DNIA 4 STYCZNIA 1936 ROKU

ROK 6



U progu nowego roku

Stary, siny staruszek — Rok Stary — szybko zakończył swój żywot i panowanie, a młody królewicz — Rok 1936-ty ukoronował się sam, biorąc w swe panowanie długi okres 12 nowych miesięcy.

Przestąpiliśmy już próg nowego roku i stajemy na rozdrożu, oglądając się za drogowskazem w nieznaną przyszłość. I oto wpada Wam do rąk niniejszy numer „Opiekuna”, który ze swych szpalt przemawia do Was jako najlepszy przyjaciel, który nie tylko bawi i rozrywkę przynosi, ale staje się Waszym najprawdziwszym przewodnikiem i drogowskazem.

Droga Młodzieży! W roku ubiegłym po długiej, przemwie, wznowiliśmy wydawnictwo „Opiekuna”, bo licznie napływały do nas listy Wasze, dopominające się swego pisemka. Zdecydowaliśmy się, spełnić Wasze życzenia i otrzymaliście w ciągu roku ubiegłego pierwsze 36 numerów „Opiekuna”.

Gdy zrobicie przegląd tych numerów, przekonacie się, że „Opiekun” nie tylko bawi i uczy, ale i pobudza Was do wyteźonej pracy nad sobą. — Tym zasadam chcemy służyć i nadal.

„Opiekun” bardzo pragnie zapoznać się ze wszystkimi Czytelnikami i chciałby przez to stworzyć jedną bardzo wielką rodzinę. Kto z Was chciałby do tej rodzinie należeć? — Słyszę, jak wołacie w zgodnym chórze: ja! ja! i ja też!... Ale to nie wystarczy! Trzeba przecież się przedstawic, czyli na-

isać choć króciutki listek do „Opiekuna”, podzielić się z nim swymi radościami i smutkami, napisać, jak przeszły Wam święta, a co też Wam na święta „Gwiazdor” przyniósł, jak idzie Wam z nauką i tak dalej i dalej.

„Opiekun” zaprasza Was wszystkich do ożywionej korespondencji, a miejsca nie pożaluje Wam na swych szpaltach.

Przekroczyliśmy szczęśliwie i radośnie granicę czasu, dzielącą stary rok od nowego! Z Bogiem weszliśmy w nowy rok, prosząc Wszechmocnego o błogosławieństwo dla swych najbliższych, dla siebie idła prac naszych rąk.

Redakcja „Opiekuna” przesyłając Wam, Drodzy Czytelnicy, najszczerze życzenia wszelakiej pomyślności, pełni ufności w pomoc Boską, rozpoczynamy niniejszym numerem nowy rok naszej pracy.

Życzymy sobie, ażeby to pisemko Wasze, stało się rzeczywiście Waszem, w pełnym znaczeniu tego słowa — a więc — ukochaną lekturą Waszą, ale zarazem powstałe z prac Waszych, — nadzylanych do redakcji.

W nadziei, że przy pomocy Boskiej praca ta się nam poszczęści, pewni Waszego zrozumienia, głębokiego poparcia i chętniej współpracy, wkraczamy w nowy rok, wołając:

„Z Bogiem! — pełną parą naprzód w nowy rok!

Redakcja „OPIEKUNA”.

Na Rok Nowy!

Rok się cały przeigrało,
Ej, kochana młodzi...
Aż tu nagle nieproszony
Nowy Rok przychodzi!

Pełen siły i młodości,
Już woła z daleka:
„Proszę, proszę, jęomości,
Nowa praca czeka!”

Nie jeden się w kącik schroni...
Lecz nie nie pomoże!
Wszystkich Nowy Rok dogoni,
Nie umkniesz nieboże!

Z głowy wygna wnet figielki,
Chęć do pracy wzbudzi.
Dziatwo! uczyć się czas wielki,
Już rośniesz na ludzi!

A przed sobą pracy dużo,
Oj, dużo, dziecińco!
Ucz się póki latka służy,
Zapłaczesz, gdy miną...

A więc dziatki! kto z was czyta,
Niech stanie w kółeczko!
Niech was Nowy Rok pomita
Wszystkich nad książeczką!

DZIECI ROSYJSKIE MAJĄ ZNOW CHOINKI.

Wicie zapewne, że bezbożny rząd rosyjski zakazał wyznawania wiary, poburzył kościoły i kapłanów skazał na straszne tortury za wszelkie praktyki, związane z wiarą świętą. — Zakazali też bolszewicy i ustawiania choinki na Boże Narodzenie.

Obecnie donoszą gazety, że czerwoni komisarze bolszewicy wydali pozwolenie, iż wolno znowu ustawiać w domach choinki, co prawda nie na Boże Narodzenie, ale na Nowy Rok.

Miejmy nadzieję, że nowy rok 1936 przyniesie naszym młodym wschodnim sąsiadom tę pociechę, iż na przyszłą gwiazdkę śpiewać będą wszystkie dzieci rosyjskie z zupełną już swobodą piękne pieśni kolendowe. — O to prośmy dziś Boga — na ten nowy rok.



W OBŁOKACH

(Bajeczka).

— Trawka zielona, raz, dwa, trzy!
— podśpiewywał, odrobinę fałszując.

Nie chciało mu się w szkole ślęczyć; wiosna ciepłutka, trawa mięciutka, pachnąca — wolał pójść za miasto, na wagary. Taki to już był ten Antek Łapserdak.

Więc szedł i podśpiewywał.

Gdzieś daleko, gdzie ostatnie kończą się budynki, stanął i głowę zadarł wysoko.

— Hu, hu! Co za komin!

A komin żółty, żółciutki pionowo piał się w górę, piorunochronem chmury bodząc.

Antek zadarł głowę jeszcze wyżej, usta rozdziawił i patrzył. Po godzinie patrzenia spostrzegł, że grzbietem kominu ciągnie się żelazna, solidna drabinka.

— To i ja mógłbym dostać się na czubek! — sprytnie zauważył.

Nie lepszego nie miał do roboty, to też uczepił się drabiny i zaczął po niej wchodzić w górę.

Tysiąc błyszczących szczebli, tysiąc zardzewiałych szczebli, tysiąc okopconych szczebli...

— Uf! — stęknął. — Kiedy wreszcie te szczeble się skończą!

Wtem na szczycie coś zaklekotało.

— Czego pan tu szuka, panie Łapserdaku?

— Łaskawy dziedziu, Bocianie, chcę wsiąść na chmurę!

— Kle, kle, to nie tu miejsce startu.

— Tysiąc tysięcy szczebli już przeszedłem, tysiąc tysięcy szczebli mam napowrót zdeptać?

— A dokąd kawaler chce jechać?

Antek chrząknął, zaczerwienił się. Surowa mina bociana i jego długi, profesorski nos mówiły wyraźnie, że dla leniów, łazogów niema zmiłowania.

— Do szkoły, panie profesorze! — stęknął pokornie.

— Ha, w takim razie wejdz, proszę, może uda się stąd wskoczyć.

Usiadł na kolistym brzegu tuż przy bocianiem gnieździe i czekał. Na horyzoncie coś się zabieliło.

Leci baran, on cię chętnie do szkoły zawiezie. Uczep się moich nóg, to cię podrzucę.

Oderwali się od kominu, poszybowali wolnym, łagodnym kręgiem i nagle, hop, Antek już siedział na grzbiecie barana.

— Do szkoły, do szkoły z Łapserdakiem! — zaklekotał bocian na pożegnanie.

Antek zaś nie mógł się nadziwić. Toż z dołu, choć nazywali je baranka-

mi, wyglądały jak zwykle chmurki, tylko że białe, wełniste, pogodę zwiastujące zazwyczaj; a tymczasem teraz przekonał się namacalnie, że były to najprawdziwsze barany!

Ten, na którym siedział, leciał przodem, za nim zaś całe stado pędziło i coraz nowe wychylały się z za horyzontu. Wszystkie białe, okrągłutkie, leciuchne, wełniste.

— Fi! fi! — świsnął przez dziurawy żąb, jak tylko on to potrafił. — Pyszna jazda! Do klasy wracać ani mi się śni!

Wnet zabłysnął szkolny dach. Antena, na nim rozpięta, dźwiękła pod uderzeniem wiatru:

— Antek wraca! Na chmurze jedzie!!

A baran:

— Beee! Zsiadaj, chłopcze!

— Ani mi się śni! Jadę dalej!

— Anteczku, Antosiu, Antosinku! Toż to szkoła!

— To co, że szkoła!

— Tam się dowiesz tyłu ciekawych rzeczy....

— Odkąd to barany gustują w szkole?

— Jeśli nie chcesz być baranem, nie uciekaj ze...

Baraniątko nie zdążyło dokończyć. Zbyt długo zwlekali. Rozpędzone stado, co tchu goniące za nimi, ze straszłą siłą wpadło na spóźnialskich.

Oślepl Antek w tej białej zawierusze. Niespokojnie maca rękami. Barana ani śladu. Lecz nie spada i nie go nie boli. Leży na czemś miękkim, puszystym.

Ostrożnie otwiera oczy:

— Ach, pierzyna! Teraz polecę na pierzynie. Tem lepiej, w to mi graj!

Tylko, że ta biała, sprężysta pierzyna zaczyna falować. Uuuuch, to znów niemile! Głowę wdół, głowę w górę, znów wdół, znowu w górę. Lecz z Antka pływak nielada, macha rękami, kurczy i preży nogi, i zawsze wypływa, zawsze na wierzchu.

Wreszcie poczuł, że na twardym stanął gruncie.

— A tom się zmachał! Przynajmniej odpocznę.

Przykucał na kamieniu i ciężko odsapnął.

Lecz w tejże chwili zerwał się jak oparzony. Pod jego stopami ziemia zaczyna się rozrzedzać, tworzą się szpary, wyrwy, leje; od przepaści dzieli go tylko cienka, coraz cieńsza siateczka, rozplývająca się z chwili na chwilę.

— Masz babo placek!

Skóra mu ścierpła, mrówki biegają po łydkach.

Lecz głowy jeszcze nie traci. Przed nim piętrzy się góra. W miarę, jak spod stóp ziemi ubywa, góra coraz potężnieje.

Nie namyśla się długo. Co sił wdrapuje się na górę i pnie się coraz wyżej, w pośpiechu, w umęczeniu, w wielkim strachu.

Bo pod nim przepaść wciąż rośnie, podnóże góry rwie się, rozpada, jak mgła, jak pajęczyna; każdej chwili może stopom zabraknąć oparcia.

— Mam tego dosyć! Lepiej było na wygodnej ławce siedzieć w szkole! — żałuje poniewczasie, nie ustając w marszu ani chwili, choć pot zlał już czoło. U dołu wciąż ziemi ubywa, a do szczytu coraz dalej.

Nagle wrzasnął. Wiatr zawiał, a zarazem z wiatrem przeleciał trzy kroki od niego jaszczur skrzydlaty. Ni to krokodyl, ni nietoperz. Z oczu skrami sypał i zgrzytał zębami ostremi jak kosy.

Jeszcze nie zdążył Antek ochłonąć z przerażenia, a tu nowe zbliża się nieszczęście. Tabun dzikich koni z rozwianymi grzywami pędzi wprost na niego. Stratują go na miazgę.

Włosy stanęły mu na głowie.

— Do szkoły! Ja chcę do szkoły! — krzyknął przeraźliwie i skoczył z góry. Lepiej kark skrócić, niż zginać pod kopytami.

Wpadł na jakąś pajęczą siatkę, przedarł ją, w ostatniej przeciw chwili zdążył jeszcze ucześcić się jej rękoma. Wisiał, blady ze strachu, a nad głową jego tętniły kopyta rozbieganych rumaków.

— Ach, i tym razem jeszcze ocalałem! — odetchnął z ulgą, rozglądając się za pewniejszym oparciem.

Góra daleko. Lecz cóż to? Góra zaczyna drgać, skręcać się, chudnąć w środku, a pęcznić na końcach; z siwej robi się krwawa, bura, traci ostatnie połyski. I wciąż na końcach grubieje, coraz więcej się wydyma. Aż rozdarła się w pół i potoczyła się dwoma mościeżnymi talerzami.

— Takie samiuteńkie, jak w orkiestrze wojskowej! — dziwuje się Antek. — Żeby zagrać, trzeba niemi mocno uderzyć...

Serce Antkowe załomotało jak oszalałe, tchu mu zabrakło. Toż on wisi akurat między temi dwoma talerzami. Z obu stron sterczą one groźne, złowieszcze, nieustępliwe, coraz ciemniejsze, już nie mosiężne, ale ołowiane. — Jeśli ktoś zechce niemi zagrać...

Dzwoni Antek zębami. Nogami rozpaczliwie macha, by odpędzić zagładę. Napróżno. Jakiś potworny, niebieski muzykant już chwycił ołowiane tale-

rze i zderzy je za chwilę, aby zagrać hucznego marsza.

Antek zamknął oczy. Niema dlań ratunku.

— Ja chcę być w szkole! Nigdy już nie będę ze szkoły uciekać... — skomli cichutko, jak gdyby powtórzone talerze mógł tą skruchą przebłagać. Jeszcze chwila. Buuuummm!!! Zaduńdziło niebo głuchym grzmotem.

Coś twardego oderwało się od czarnej chmury i runęło w dół. Brzdęć! Trzasła szyba w klasie.

— Grad! — krzyknęli uczniowie. krzyknął nawet siwy profesor. — Grad zbił szybę!

Wszyscy rzucili się do okna. Nikt nie zauważył, że Antek wleciał dziurą i przerażony skulił się na ławie.

— Na miejsca, chłopcy, na miejsca! — nawoływał profesor. — To jest grad, zwykły grad, powstaje na skutek gwałtownego oziębienia się deszczowej chmury. Ten jest może wyjątkowo duży, jeśli stłukł szybę.

Wszedł na katedrę, zajrzał w dziennik i groźnie zapytał:

— Antek Łapersdak przygotował się na lekcję?

— Biedny Antek tchu jeszcze nie mógł złapać, więc tylko poważnie kiwa głową.

— Powiedz mi, jakie znasz chmury...?

— Białe, welniste czyli baranki... pierzaste... także ołowiane, jak ta na przykład, z której właśnie...

Byłby powiedział: — spadłem! i napewnoby oberwał nagane za niewczesne żarty, na szczęście przerwał mu profesor:

— Dobrze. A może powiesz mi jeszcze, co to za wielki ptak przylatuje do nas na wiosnę i gniazdo ściele wysoko, niekiedy nawet na szczycie kominu?

— Bocian, panie profesorze!

— Świetnie. Widzę, że tym razem się nauczyłeś. Z geografji i przyrody dostaniesz: bardzo dobrze. Pracuj tak dalej, a wyrośnie z ciebie pociecha.

Tak oto szczęśliwie zakończyła się jedna z przygód Antka Łapersdaka.

Józef Tumidajski.

Wszyscy za jednego

Oddział powstańców nacierał na kozaków. Dowódca „dzieci warszawskich”, Ludwik Żychliński, trafiony kulą w piersi i ramię, zsunął się z konia. Złożono rannego na wóz, przykryto grochowinami i całym pędem pognano do pobliskiego lasu. Straszny ból cierpiał ranny za każdym uderzeniem wozu o korzenie i stracił wkrótce przytomność. Przewożono go potem

jeszcze kilka razy z ranami niezagojonemi w obawie przed wojskiem rosyjskiem, które goniło za powstańcami i wyszukiwało rannych, aby ich więzić i na śmierć skazywać. Skoro Żychliński odzyskał przytomność, zajął się wielce, bo spostrzegł, że spadając z konia, utracił torebkę, w której znajdował się cały jego majątek, półtora tysiąca rubli. W chorobie został bez grosza. Ale oto w parę dni potem torebkę z pieniędzmi i papierami odniósł mu ułan polski, młody włościanin ze wsi Elżanowa pod Nadarzynem. Nie chciał przyjąć nagrody, protylko o nominację na podoficera, o pokwitowanie z odbioru pieniędzy i opiekę nad rodzicami w razie swej śmierci.

W nocy przywieziono Żychlińskiego do folwarku Brzeziny pod Kałuszynem. A już o świcie wpadła przerażona szafarka z zawiadomieniem, że kozacy są już w podwórzu i żądają furmanek. Oficer, towarzyszący Żychlińskiemu, zdołał umknąć z bronią i papierami i ukryć się w bagnistych zaroślach. Raniony zaś dowódca, przebrany w miejscową odzież, poleciał szafarce ogłosić, że mają go wszyscy uważać za rządcę majątku. Zaraz też poszedł do kozaków i umawiał się z nimi o furmanki. Kozacy patrzyli na niego podejrzliwie, widząc, że jest bardzo blady i osłabiony, ale zaraz nadbiegli gumieny i parobcy, powitali go jako rządcę, pytali, ile dać podwód, jacy mają jechać fernala. To przekonało kozaków, że mają do czynienia z rzeczywistym rządzą, cierpiącym na febrę.

Wkrótce Moskale wyruszyli ze wsi, zabrawszy podwody. Zaledwie uszli za wieś, stawił się przed Żychlińskim sołtys tej gminy i oświadczył, że furmanka czeka na niego w lesie; lecz widząc, że dowódca jest bardzo osłabiony, prosił go, aby pozostał we dworze, że we wsi niema zdrajców, że wieś cała obstał on swemi wartami i, zanimby kozacy przyszli, możnaby łatwo zdążyć uciec w las za olszyny, gdzie gajowi odprowadzą dowódcę w miejsce bezpieczne. Żychliński został, opatrzone mu zaognione rany, otoczono staranną opieką. Przez czas dłuższy odpoczywał i leczył się w spokoju, a cała wieś czuwała nad jego bezpieczeństwem.

Zermie ten szczęścia swego nie,
I marnie życie straci,
Kto pożytecznym nie chce być,
Dla swoich braci.

Szopka

*Jak myślą sięgnę dawnymi laty
(dzisiaj tradycja złotą już kropką!)
zwykle po świętach do naszej chaty
przychodził gwiazdor z prześliczną
szopką!...*

*Ileż to było zachwyków błogich
na widok żłóbka z ruchomą trzódką,
i tej chwilowej dziecięcej trwogi,
gdy śmierć z Herodem skończyła
krótko!...*

*I tego dziadka z torbą otwartą,
co mpól się kłaniał, gdy ktoś obdarzył,
ilekroć wspomnę (a wspomnieć warto)
czuję, że ciekną łzy po mej twarzy!...*

*Lecz aby nie dać poznać po sobie,
że łzy mam w oczach, przeszłość —
na jamie —
przytulam syna i córki obie
i o tej szopce im prawię!*

E. K.

H-U-M-O-R

CZY TO KANARKI?

Karolek patrząc na śliczną, zieloną papużkę, pyta:

— Mamusiu, czy to są niedojrzałe kanarki?

— O —

TRZEŻWA ODPOWIEDZ.

— Co to jest wiatr, Jasiu?

— Wiatr, wiatr... to jest powietrze któremu się spieszy.

— O —

PRZY OBIEDZIE.

— Kaziku, czemu nie jesz?

— Gorące wszystko. Usta sobie poparzyłem!

— No, to dmuchaj!

— Ba, ale się boję, żebym nie zdmuchnął z talerza...

— O —

— Przeczytałeś już tę książkę, Jasiu, więc powiedz mi, kto to był Robinson Cruzo.

— O, tak! To był człowiek, który sam załudnił pustynną wyspę.

— O —

Złodziej przyszedł do spowiedzi i przy tej okazji wyciąga spowiednikowi zegarek.

— Kradnę — spowiada się.

— Chciałeś powiedzieć: kradłem — poprawił ksiądz.

— Ano tak, ukradłem zegarek.

— Powinieneś go dać.

— Oddam go księdzu proboszczowi.

— Nie, ja nie chcę. Musisz go oddać właścicielowi.

— Właśnie chciałem oddać, ale właściciel nie chce przyjąć.

— No, to już go sobie zatrzymaj.

Złodziej usłuchał i zegarka nie oddał.

Ślizgawka

*Równo, równo, jak po stole,
Na łyżewkach w dal...
Choć myskoczy guz na czole,
Nie będzie mi żal...!*

*Guza nabić — strach nieduży,
Nie stanie się nic...
A gdy chłopiec kiedy stchórzy,
Powiedzą, że „fryc“...!*

*Jak powiedzą, tak powiedzą,
Pójdzie nazwa w świat...
Niech za piecem tchórze siedzą,
A ja jestem chwał!*

B. Domżół.

Niespodziewane szczęście

Nadeszły upragnione święta Bożego Narodzenia. Wśród nawróconych chrześcijan panowała powszechna radość. W naszej misji Thiell-Saint-Pierre wszyscy w nabożnym skupieniu przyjmowali do serca Niebieską Dziecinę w tę pamiętną rocznicę Jej przyjścia na świat w Betleem. Po mszy św. po udzieleniu wiernym błogosławieństwa Najśw. Sakramentem zgromadzeni zaczęli opuszczać kościół.

Niebawem opustoszał dom Boży, tylko w ciemnym kącie, z twarzą ukrytą w dłoniach, klęczała niewiasta, jedna z niedawno ochrzczonych.

Od dłuższego czasu była dotknięta trędem... Ta straszliwa choroba, która w tych krajach szerzy ogromne spustoszenie, zniszczyła jej prawie trzecią część twarzy. Ażeby ukryć zeszpecone policzki, nos i usta, które wskutek trądu stały się jedną wielką raną, zasłoniła twarz kawałkiem płótna.

Wychodząc z zakrystji rzekła:

— Marjo! — co ty tu robisz? Czy oczekujesz kogo?

Nieszczęśliwa zaczęła lkać.

— Dlaczego płaczesz?

— Ojciec odrzekła — niedawno temu powiedziałeś mi, że jestem już przygotowana do przyjęcia Boga. — Wczoraj obmyślałam moją duszę w Sakramencie Pokuty, a dzisiaj nie otrzymałam, jak inni chrześcijanie, Dzieciątka Bożego.

— Ależ Marjo, — odpowiadam — z własnej winy nie przyjęłaś Komunii św. Wszak mogłaś przystąpić do Stołu Pańskiego wraz ze swymi towarzyszami?

— Ojciec, — nie miałam odwagi. — Mówiłam sobie w duchu: Czyżby Pan Jezus śmiał przejść przez okropną ranę, która utworzyła się na moich wargach i twarzy, ażeby wstąpić do mego serca? Spójrzaj Ojciec, jak mię trąd oszpecił!

To mówiąc, uchyliła zaslonę z twarzy. Oczom moim przedstawił się okropny widok. Nie mogłem rozpoznać kształtów twarzy, gdyż cała zmieniła się w gnijącą ranę.

— Lecz moja córko, — ty wiesz dobrze, że Pan Jezus nie przywiązuje żadnej wagi do piękności ciała? — Piękność duszy Mu wystarcza, nią się zadawała i zachwyca.

Na te słowa Marja dotknęła ręką powiek, chcąc się przekonać czy czasem nie śni. Oczy jej błyszczały radością...

— Ach — mówiła — czy jest to możliwe, czy to prawda, że Stworzyciel nieba i ziemi zechce dotknąć się mego ciała zeszpeconego trędem?

— Nie, Marjo, bądź spokojna — Pan Jezus nienawidzi jedynie grzechu.

Pomogłem jej następnie przygotować się do Komunii św. i do tego żyjącego trupa wstąpił Boski Pocieszyciel strapionych.

Było to dla Marji prawdziwe Boże Narodzenie.

Od tego czasu nie obawiała się już przystępować do Stołu Pańskiego, by pokrzepić duszę Chlebem mocnym, przypominając sobie moje słowa: „Pan Jezus nienawidzi jedynie grzechu!“

O. B. Misjonarz w Afryce.

Dziewczę z zapalkami

(wedł. Andersena)

W mroźny wieczór sobotni, przez ulice zasypane śniegiem, podąża dziewczynka, niosąc w fartuszkach pudełko z zapalkami na sprzedaż. Odziana lichy, zziębła i głodna; trzyma w zsiniałej ręczce jedno z pudełek i podsuwa je nieśmiało przechodniom, ale tłum mija ją obojętnie, nie zwracając na biedactwo najmniejszej uwagi. — Biały szron mrozu osiadł na włoskach dziewczynki, lśni niby gwiazdy na płaszczu złocistym. Ładnie jej w tym stroju, ale nie o tem myśli obecnie biedna dziewczyna. Oto powonienie jej lechce co chwila zapach pieczonej gęsi, którą ludzie spożywać będą jutro w niedzielę, a ona, głodna i zziębła, posuwa się dalej i dalej wśród mrozu i śniegu, aż wreszcie, znużona bezowocnym błędzeniem, siada skulona pod murem. Do domu wrócić nie ma odwagi; jakże bowiem wracać bez pieniędzy? Ojczym obilby ją niezawodnie, a zresztą i tam nie ciepłej.

I oto przychodzi jej na myśl zapalić jedną zapalkę — jedną jedyną — dla rozgrzania się. Wspomnienie ciepła nie pozwala jej oprzeć się pokusie, więc skostniała, napół martwą rączką wyjmując drewnienko i pociera...

Zjawia się płomyk... i nagle zdaje się biedactwu że siedzi przed ciepłym kominkiem — wyciąga więc nóżki z pod cienkiej sukienki, aby je ogrzać... ale w tej chwili zapalka gaśnie, znika kominek i ognisko, a w ręku dziewczynki pozostaje zwęglone drewnienko. Pociera drugą zapalkę — i w świetle, padającym na mur, widzi pokój jasny i ciepły, stół nakryty obrusem bielutkim, na nim talerze i szklanki, a pośrodku pieczoną gęś na półmisku. Gęś ta zaczyna się poruszać, i zeskoczywszy nagle ze stołu z nożem i widelcem w zarumienionej piersi, zbliża się ku dziewczynce. Wizja pryska... dziewczynka pociera więc jeszcze jedno drewnienko, i oto widzi przed sobą najdroższą babunię, którą kochała tak bardzo, a która już dawno umarła. Postać staruszki, spoglądającej z miłością na wnuczkę, jaśnieje ciepłym łagodnym blaskiem.

„O weź mię z sobą! — woła dziecko — o weź mię, babciu!“

Ja wiem, że ty znikniesz, skoro zapalka zgaśnie, jak zniknął piec ciepły i gęś. O, nie znikaj, babciu!... I drżąc z pośpiechu i mrozu rączyna zapala całe pudełko odrazu. Bucha jasny płomień, jaśniejszy od słońca, a w świetle tem zjawia się znów babunia, tak piękna i promienna, jak nigdy za życia i uśmiechając się do wnuczki, bierze ją na ręce.

Nazajutrz w kąci, pod murem ujrano zmarłe ciało ubogiej dziewczynki.

Na rok 1936

*Hejże! odszedł roczek stary,
Który przyniósł liczne dary,
Tak radości, jak cierpienia.
„Czy się przyszłość nam odmienia?“*

*Oto trwożne dziś pytania,
Gdy nowego już zarania:
„Jaka będzie Boska Wola?
Czy zaświta lepsza dola?“*

*Niebo wie, mój Bracie miły,
— Co jest ponad nasze sily, —
Czy zwycięży biedne serce,
Które męczy się w rozterce.*

*Hejże! odszedł roczek stary!
Miejmy duszę pełną wiary!
Niech fanfary grzmia nadziei,
Miłość świeci wśród zawiści!*

*W Nowym Roku taka droga:
Zjednać łaskę Pana Boga.
Witaj! Witaj, Nowy Roku!
Szczęście blask przy twoim boku!*